



## Lud górno - egipski.

Napisał

**Tadeusz Smoleński.**

Prowadząc w pierwszych miesiącach 1907 roku austro-węgierskie wykopaliska w okolicach Szaruny i El-Gamhudu w Górnym Egipcie, stykałem się ustawicznie z żywiołem miejscowym i miałem sposobność przyjrzenia się fellahom i beduinom, a stąd poczynienia etnograficznych spostrzeżeń, które dziś z pamięci i z zapisków pragnę w całość ułożyć. Mając myśl zwróconą przedewszystkiem w innym kierunku, ku martwemu Egipcjowi ukrytemu w ziemi, a nie ku żywemu, nie mogłem oczywiście czynić takich badań nad ludem tamtejszym, jakieby musiały wynikać z umyślnej, wyłącznie na to poświęconej pracy; jednakowoż zdało mi się, że i to, co przypadkowo i dorywczo zwróciło moją uwagę, nie pozbawione jest wartości. Być może przyszłość pozwoli mi niejednokrotnie szczegóły zebrane rozszerzyć i pogłębić; na razie — czem chata bogata, tem rada.

Obie wyżej wspomniane miejscowości leżą między Beni Suef a Minie; ściślej mówiąc jest to raczej Średni niż Górny Egipt: przyjęło się jednak nazwą drugą mienić wogóle część kraju, położoną na południe od Delt. El-Gamhud znajduje się po lewym brzegu Nilu, na zachód od miasteczka Feszn, Szaruna

zaś po prawym, niedaleko od Magagi, a naprzeciwko stacyi kolejowej Aba-el-Uakf. Jest to typowa wieś górno-egipska. Położona tuż nad świętą rzeką, na tle odległych skał pustynnych, stroi się mnóstwem palm daktylowych, żywo odbijających w słońcu od jednostajnej szarości domów z niepalonych cegieł. Kręte wąziutkie uliczki prowadzą do najwyższego dostojnika gminy, *omde* czyli wójta. Na widok europejczyka mężczyźni wychodzą z domów i ciekawie się przyglądają; wielu podąża za osłami *chauagi* (cudzoziemca) i wypytuje się skwapliwie towarzyszących mu krajowców o cele przybycia. Kobiety, osłonięte czarnymi sukniami, szybko zakrywają twarze i odwrócone nikną przed gościem; za nimi drepce wystraszona gromada brudnych do niemożliwości dzieciaków, o jednej błotnistej koszu linie, głowach pełnych robactwa, twarzach pokrytych muchami, które pchają się zwłaszcza do ust i oczu. Na ziemi najróżnorodniejsze odpadki i śmiecie, często zebrane w kupy, ale zdaje się nigdy niesprzątane, wywołują smród nie do opisania. Domy jednakowe, niskie, za jedyną ozdobę mają umieszczone niekiedy nad drzwiami ułamki sztuki faraonńskiej lub koptyjskiej z poblizkich ruin w Kom-el-Ahmar, wlepione w glinę niezgrabnie, często na wywrót, raczej może dla sprowadzenia szczęścia jak nasze podkowy, niż dla artystycznych celów. Niektórzy zamożniejsi obywatele wzniesli piętrowe domy z wypalanej cegły, kamienia i drzewa; naśladowując bezmyślnie budynki widziane po miastach, nie zdradzają nawet śladu poczucia piękna; barbarzyńskie upodobania oddają w krzyczącej farbie, którą ściany smarują.

Stajemy przed domem wójta; na bramie nalepiono parę świstków arabskich: rozporządzenia *maamura* (starosty) lub *mu-dira* (naczelnika prowincyi). *Omde* wybiega sam na spotkanie *chauagi* i zdaleka już składa salamalejki, prawicę zbliżając ku sercu, ustom i czołu. Na znak szacunku nie wyciąga dłoni ku gościom; przysłowie mówi, że „ręka na wierzchu szlachetniejsza jest niż u spodu“, — a więc obie dłonie wystawia jakby po garść pieniędzy, gość zaś lekko dłoni tych dotyka końcami palców prawicy. Wtedy uradowany *omde* pocałunkiem z rąk własnych ściera dotknięcie przybysza. Ale ceremonii tej sam europejczyk nie dozwala częściej powtarzać, poprostu podaje rękę i kilkakrotnie wymieniając pozdrowienia wznosi rękę ku pierśsiom i czołu. Ponieważ gość nie jest *muslimem* (muzułmaninem), wójt nie wita go religijnem *essalam alejk* (zbawienie z tobą),

lecz przeznaczonem dla innowierców *naharak saajde*, co odpowiada naszemu „dzień dobry“. Arabowie zważają bardzo na tę różnicę pozdrowień. Zdarzało mi się, że gdy naprzeciw mnie jechał ktoś drogą, towarzysze muzułmańscy zaraz pytali tubylców, czy kopt nadjeżdża czy muslim: chodziło im o to, czy użyć *essalamu*, czy *naharaku*. Wprowadzony do sali przyjęć u wójta, siada europejczyk na ciągnącej się wzdłuż muru wązkiej i niskiej sofie, obitej zwykle białem płótnem. Prócz stołu i czasem lampy wiszącej nie znajdziesz tam innych sprzętów. Wójt nie ma tajemnic: na przywitanie gościa i dla zaspokojenia silnie podrażnionej ciekawości tłoczą się do izby poważni obywatele i pozdrowiwszy niewiernego, kucają wkoło i bacznie śledzą rozmowę. Całkiem niebiegły w arabszczyźnie musiałem stale posługiwać się tłumaczem, za którego służył mi mój kucharz, berberyn Ali Mussa (Mojżesz) Agid. Znaczna część rozmowy polega na komplementach: z poważną miną oświadcza się wszem obec i każdemu z osobna, że piękniejszej wsi nad Szarunę świat nie posiada, że energia wójta tutejszego słynie aż do Kairu, że wreszcie po raz pierwszy w życiu spija się tak wyborną kawę. Napój ten należy koniecznie do każdego przyjęcia; podają kawę gęstą i gorzką, wyjątkowo tylko europejczykowi słodzą ją, prawdopodobnie za podszeptem chytrego Mojżesza. Gdzieniegdzie podają zamiast kawy odwar cynamonu z cukrem; *de gustibus non est disputandum*, mnie jednak ten napój bardzo smakował, a wydał się nieco odurzającym. Oko gościa, znudzone pustką sali, zatrzymuje się z zajęciem na leżącej na stole gazecie: rzecz ciekawa! najczęściej widzi się organ narodowców, przeciwny okupacji angielskiej, nieraz *Leuę*, pismo słynnego Mustafy Paszy Kamela. Trudno jednak sprowadzić rozmowę na tory polityczne; nieufni tubylcy strzegą się i trzymają język za zębami. Wychodząc od wójta, doświadcza się od niego najczęściej różnorodnych grzeczności; dostaje się osły do dziennego użytku, przewodnika, stróżów itp. *Omde*, na polecenie *mudira*, odpowiedzialny jest za bezpieczeństwo znajdującego się w jego okręgu *chauagi*, który od chwili wkroczenia w pustynię polecony zostaje plemionom beduińskim i opiece stałych strażników.

Pole wykopalisk moich w Szarunie, odległe o godzinę jazdy osłami od wsi, nie leżało jednak na właściwej pustyni. Mając w pobliżu, tuż na granicy ziemi uprawnej, drobną osadę

(fermę) ludzi, zajętych obrabianiem pól, należących do Towarzystwa cukrowniczego, rozbiłem namiot tuż obok folwarku, a nawet na czas zimna i deszczu (rano miewałem w styczniu  $+ 3^{\circ}$  C!) przenieśliśmy się do opuszczonego budynku gospodarskiego, za łaskawem upoważnieniem dyrektora cukrowni w niedalekiej wsi Szejch Fadl. Cmentarzysko, w którym robiłem poszukiwania, było tak blisko od fermy, że swobodnie wychodziliśmy rano do pracy, a w południe piechotą wracałem do domu na śniadanie. Robotnicy, których tu używałem, byli w przeważnej części mieszkańcami cukrowniczej osady, a kilku z nich zasługuje na nieco bliższe poznanie, jako dobrzy przedstawiciele ludu górno-egipskiego.

Na czele postawić trzeba sędziwego Szejcha Junisa (Jonasza), naczelnika osady i jej ojca, powszechnie czczonego. Jest to bywalec nie lada: gdy inni znają tylko świat między Magagą a Beni Mazarem, on widział Kair, a przed rokiem 1869 pracował przy tworzeniu kanału suezkiego. Chwali się, że naówczas mówił dobrze po francuzku; starość wypędziła mu z łysej głowy tę wiedzę, ale dziś jeszcze, ku zdumieniu mniej oświeconych wieśniaków, pracę zowie, w niezupełnie paryskim dyalekcie, *tarabalja* (travail), a gdy mu czytać bajki o „stoliczku nakryj się!“ wykrzykuje, miasto pospolitego *kaman* (jeszcze!), ozdobne *ankur*, *unkur* (encore!). Chociaż czytać nie umie, a ze sztuki pisania posiadał jedynie możność nagryzmolenia ciężką ręką czci-godnego imienia Junis, — o świecie ma jasne pojęcia i lubi rozprawiać o wielkiej polityce europejskiej. Z otwartymi usty słucha młodsza brać, gdy szejch z tajemniczym wyrazem twarzy tłumaczy przymierza zawarte między mocarstwami: *Feransa* i *Moskof* trzymają razem, — *Almanja*, *Nimsa* i *Italja* (Niemcy, Austria i Włochy) znów ze sobą. Niemcy cieszą się poważaniem i sympatją w Górnym Egipcie; choć Germanina nigdy może nie widział, Junis wie — dzięki wiadomościom gazeciarskim, powtarzanym z ust do ust, że *sultan almani* jest przyjacielem padyszacha, którego broni przed zakusami Anglii. W przyjaźni dla Niemców zachwiał się nieco, gdy mu opowiedziałem o żmudzie szkolnej dzieci polskich w Poznańskim: oburzony zrozumieć nie mógł, jak śmie ktoś zabronić modlitwy w języku ojczystym. *Bizymarg* jest, obok *Nabuljuna*, jedynym może przedstawicielem Europy XIX. wieku w oczach Junisa. Anglików nie lubi; gdy raz niedaleko od pola moich robót przepływał Nilem

w pięknej *dahabii* Lord Cromer, a na brzegach witali go uroczyście, z rozkazu władz wyższych, omdowie i szejchowie, Junis patrzył na to z niechęcią. „*Effendina* (pan nasz, tj. chedyw) — powiadał — nie doznaje podobnych zaszczytów, jak *Gurumar!*“ Z ciekawością wypytywał się starzec o moją narodowość: gdy zrozumiał, że nie należę do żadnej ze znanych mu, nie poprzestał na dziwnej nazwie *Buluni*, lecz kazał sobie opowiadać historię polską. Zajął go wysoko — i kiedy później ktoś z obcych pytał o moje pochodzenie, zwolna a mądrze tłumaczył: „*Chauaga* jest *nemsani* (austriak), ale i nie jest *nemsani*; należy do narodu, który ongi miał własnego sułtana. Trzej sąsiedni sułtanowie napadli go i odebrali mu ziemię: stąd są dziś ludzie *Buluni* i w *Moskof* i w *Almanji* i w *Nimsie*. Ale, jeżeli Bóg da, będą jeszcze mieli razem, jak dawniej, sw o jego sułtana“...

Szeich Junis chadza codziennie pod wieczór nad Nil i odwiezda *chauagę Mitri* (pana Dimitri Z.), kierownika małego zakładu do nawadniania pól cukrowych. Samotny Grek, od dzieciństwa wychowany wśród fellahów, zna język arabski, jak własny i czyta na głos nowiny dziennikarskie Junisowi, który zwolna siorbiąc<sup>1)</sup> kawę słucha pilnie, wtrąca uwagi i sentencje. A przyśłów i morałów umie wiele; przytoczę ich trochę *exempli gratia*:

To, co jest w twojej ręce, bliżej jest od tego, co w twojej kieszeni, bliżej niż to, co w twym domu. — Strzeż się swego nieprzyjaciela raz jeden; strzeż się swego przyjaciela zawsze. — Bój się rzeki milczącej. — Kogo wąż ukąsi, ten boi się sznurka. — Próbą wiernego jest, że gdy mówi, mówi prawdę, — gdy powiedział, wie się, że prawdę powiedział, — co przyrzecze, wypełni, — a jeśli mu się zaufa, nie dozna się zawodu. — Mądry rozumie na migi. — Chciwy traci wszystko. — Rzecz zaniedbana uczy ludzi kradzieży. — Kupując nie zapominać o dniu, w którym sprzedasz. — Jeśli kradniesz, kradnij wielbłądy, jeśli kochasz, kochaj piękność. — Trzeba umawiać się przed orką, aby nie kłócić się na klepisku. — Warunkiem brania jest oddanie. — Kto służy ludziom, temu i ludzie

---

<sup>1)</sup> Pozwolę sobie mimochodem zaznaczyć, że wyraz polski *siorbać* pochodzi niewątpliwie — jak mi to przedstawił p. Mieczysław Geniusz — ze Wschodu. Por. w arabskim *szurb* (napój), *szirib* i *jiszrab* (pić).

służą. — Kto bierze i oddaje, ten łączy się z fortuną drugiego (tj. gdy odda, jest pewien powtórnej pożyczki. Przyp. A.). — Sprawiedliwość podnosi domy niepodparte, a niesprawiedliwość burzy domy hojne i szczęśliwe. — Kto wam ufa, tego nie okradajcie...

Dość powyższych przykładów, aby wyrobić sobie pojęcie o praktycznej mądrości wybitnego obywatela kraju, gdzie przysłowia mają zgoła inne znaczenie niż u nas, — gdzie nie są przeżytkiem, ale uczą i zmuszają słuchaczy do rozmyślań. Szech Junis lubi też powtarzać zasłyszane w ciągu długiego życia opowiadania o dawno ubiegłych stuleciach. Wie on, że czterech było królów, którzy cały świat zawojowali: *Iskander* (Aleksander Wielki), *Sulejman ibn el Daud* (Salomon syn Dawida), *Buchtynasar* (Nabuchodonozor) i *Kysra* (Kserkses); z tych dwaj ostatni byli bałwochwalcami. *Iskander* nosi w świecie arabskim przydomek *Zuelgarnena* t. j. rogatego; z rogami bowiem miał przyjść na świat. Krąży o nim mnóstwo legend; nieraz ubocznie zjawia się w baśniach, jak w tej, którą ściśle za Szechem Junisem niżej przytaczam. Nie wiem, jaką ona drogą dostała się Szaruny, ale zdaje mi się, że jest dość piękną i zajmującą, aby zasłużyć na powtórzenie:

Pewien król miał syna, który opuścił dom ojca swego i poszedł żyć na cmentarzu. Iskander Zuelgarnen, podczas jednej ze swoich podróży, odwiedził tego króla, który opowiedział mu o synu i prosił o namówienie go do powrotu i do dziedziczenia królestwa. Iskander zgodził się; poszedł na cmentarz, jako dobry muslim (!) zdjął obuwie przed wejściem i, zobaczywszy królewica, zapytał: „Dlaczego tutaj siedzisz, gdy twój ojciec gniewa się i martwi, komu zostawi królestwo?“ — „Czego chcesz odemnie?“ — zapytał królewic. — „Abyś wrócił i został królem w swoim państwie“. Tedy tamten przyrzekł usłuchać, jeśli Iskander wypełni trzy żądania: na-przód — rozróżni na cmentarzu kości władców od kości poddanych, powtóre — wskaże mu królestwo wiecznotrwałe, po trzecie — nauczy życia bez śmierci. Żadnego z tych zadań Iskander nie mógł wypełnić i z niczem musiał odejść. Bóg zaś w nagrodę zesłał królewicowi anioła, który pozwolił mu wybrać sobie trzy rzeczy przyjemne. Ale królewic odmówił: „Ja —

rzecze — wybierać nie będę; Pan Bóg wie lepiej odemnie, co jest przyjemne“. Tedy anioł wziął go i poniósł do pałacu z ogrodem, wodotryskami, wszystkim, czego można było pożądać. Ale królewic dostał to pod warunkiem, że nic go nie będzie dziwiło i niczem nie będzie się przejmował. Po pewnym czasie zobaczył dziewczynę, ściganą przez młodego człowieka, za którym biegł janczar z wyciągniętą szablą. Zawołał tedy do młodzieńca: „Patrz za siebie! nie myśl o dziewczynie, lecz o janczarze, który może cię zabić!“ Zaledwie to wypowiedział, zniknęło wszystko i znalazł się znowu na cmentarzu. Zjawił się anioł i spytał: „Cóżeś uczynił? czy nie wiedziałeś, że dziewczyna to świat, młodzieniec to człowiek w ogólności, a janczar to anioł śmierci? Wszyscy ludzie tak są światem zajęci, a nie śmiercią“. I znowu po raz drugi anioł przeniósł królewica w owo piękne miejsce. Po pewnym czasie królewic ujrzał dwóch rzeźników: jeden z nich sprzedawał baraninę, a drugi psie mięso. Ludzie kupowali psie mięso po trzy piastry, a baraniny za darmo brać nie chcieli. Rozgniewało to królewica i zapytał: „Dlaczegoż nie kupujecie baraniny?“ I znowu znalazł się na cmentarzu i znowu zjawił się anioł, mówiąc: „Straciłeś już dwie sposobności. Czy nie rozumiesz, co znaczą ci rzeźnicy? Oto ojciec twój, mając prawą małżonkę, szuka innych kobiet, płacąc za to psie mięso. Tak też cały świat czyni“. I przeniósł anioł po raz trzeci królewica do owego pałacu. Wkrótce zobaczył królewic drwala, który narąbał wiele drzewa, zrobił ogromną wiązkę i nie mogąc jej podnieść zostawił i odszedł. Nazajutrz znów bardzo wiele narąbał i chciał obie wiązki naraz zabrać; widząc, że nie zdoła, rzucił wszystko i znów odszedł. Na trzeci dzień jeszcze więcej narąbał i daremnie próbował zabrać wszystkie trzy wiązki. Wtedy rozgniewał się królewic i zawołał: „Co czynisz? Zabierz naprzód część pierwszej wiązki!“ I znów się znalazł królewic na cmentarzu, a anioł zjawiwszy się powiedział: „Skończyła się już sposobność. Ów drwal — to człowiek, który zwątpił o miłosierdziu Bożem wskutek grzechów swoich i coraz więcej grzeszy“... Królewic został na cmentarzu aż do śmierci, zajęty grzebaniem rozrzuconych kości.

A oto inna powiastka szejcha (w streszczeniu):

Gdy raz pewien przyjaciel sułtana cierpiał biedę i skarżył się na to przed władcą, sułtan poradził mu iść w świat za pieniędzmi. Tedy człek ów — a był to *aalem* bardzo uczony — wędrował po różnych krajach i wszędzie udawał nawróconego na miejscową wiarę, co mu wszędzie sporo grosza przynosiło. Przyszedł wreszcie z powrotem do Stambułu, w szatach greckiego księdza — i udał nawróconego na islam. Muslimini przyjmowali go wszędzie otwartemi rękoma i okazywali wielką radość. Pewnego ranka oznajmił przebiegły *aalem*, że mu się w nocy ukazał Mohammed i wlał mu w głowę cały koran. Uczeni zadawali mu więc różne pytania i zdumieli się jego mądrością. Innego znów dnia udawał, że w nocy cudem pouczony został o najtrudniejszych zagadnieniach teologicznych. I znów pytali go uczeni i dziwowali się, że ksiądz grecki z łaski nieba taką wiedzę od razu posiadał: ani się nawet nie domyślali, że mają przed sobą dawnego *aalema*. Doszła wieść o tem aż do sułtana, który przywoławszy natchnionego rzekomo księdza, poznał w nim starego przyjaciela i, choć zrazu ganił go za kpinki, z kolei — przypominając sobie własną radę pójścia w świat za groszem — wszystko przebaczył.

Szejch Junis był dla mnie przy wykopaliskach nieocenionym pomocnikiem: za wynagrodzeniem sześciu piastr dziennie (niespełna półtorej korony) stanowił od rana do wieczora duszę robót. Wczesnym rankiem wychodził z robotnikami, związawszy starannie *aemnę* (rodzaj turbana) i drewnianym grzebykiem, który stałe nosił w zawoju, przyczesawszy siwą brodę. Otulony, w szerokie czarne i białe szaty, oparty na wielkim kijku, w skórzanych — żółtych lub czerwonych — papuciach, miał w sobie wiele z biblijnego patryarchy. Posłuchem cieszył się wielkim: praca szła przy nim rażno i wesoło. Za każdym razem, gdy trzeba było podważyć głaz ogromny, on — chociaż starzec — sam brał drąg żelazny i dawał dowód siły niezwykłej. Spuszczał się ze mną do grobów i korytarzy podziemnych, razem czołgał się i pęłzał na brzuchu. W dniach pozbawionych zdobyczy chodził zmartwiony, ale dodawał mi otuchy, poważnie wskazując w niebo ze słowami *Allah kerim* (Bóg litościwy);

znaleziona starożytność — jego przedewszystkiem przejmowała radością. Okazywałem mu szczerą szacunek i przyjaźń; największą uciechę sprawiłem mu odwiedzinami w jego ubożuchnej lepiance, gdzie na macie słomianej kawą mnie częstował. Zbiegała się wtedy cała rodzina, oczywiście z wyłączeniem kobiet: synowie Mohammed i Ali byli chlubą szejcha, największym jednak ulubieńcem malutki wnuczek Afifi. Spytać się o zdrowie malca sprawiało dziadkowi nadzwyczajną przyjemność; ze wzruszeniem dziękował za pamięć. Jeżeli wszystko, co dotąd powiedziałem o Szejchu Junisie, wyda się czytelnikom sympatycznym, zrazi ich może pogląd jego na „sprawę kobiecą“. Matkę Mohammeda i Alięgo wypędził i pojął żonę drugą; gdy dziś spotka na drodze dawną małżonkę, która już od długich lat pocieszona znalazła sobie towarzysza, z powagą podnosi połę swego płaszcza i zakrywa oblicze. Tak mu każe pobożność. Raz mi wyłuszczył swój sąd o kobiecie: Jest ona — powiedział — jak papuść; gdy wygodny, należy go starannie przechowywać, — gdy jednak uciska i gniecie, rozum każe precz go odrzucić“...

Z innych obywateli teje osady zasługuje na bliższe poznanie rodzina Abdelaalima. Ślepy ojciec, zajęty ustawicznie przedzeniem, umie na pamięć koran i tę wiedzę synom przekazuje. Młody jego syn, pilny robotnik Abdeltanab, również podobno posiadał całą świętą księgę, a biegle czytając służy towarzyszom za lektora. Późnym nieraz wieczorem słychać było, jak z wielkiej, w skórę oprawnej księgi snuł powieść o Harun al Raszydzie. Mały jego braciszek, może dwunastoletni, umie już wiele sur na pamięć i pięknie je nieraz śpiewa ku zbudowaniu słuchaczów. Tej rodzinie uczonych przeciwstawić trzeba typ inny, pospolitych fellahów, jak Ahmed Mohammed, chudy i zwiędły starzec, który z wieku czuł prawo witania mnie zawsze podaniem ręki. Pracował niezdarnie, ale wypadało patrzeć na to przez palce, bo w zamian za dwu się trudził przysadkowaty Ibrahim Mohammed, narzeczony córeczki Ahmeda, nie wiele co nad dziesięć lat mającej. Brzydki, o twarzy buldoga, z siłą niezwykłą ruszał kilofem; nic też dziwnego, że przyszła jego żona, przynosząca wodę robotnikom, z podziwem nań spoglądała. Dwudziestoletnia różnica wieku nikogo nie raziła i już parę tygodni po moim wyjeździe z Szaruny Ibrahim poślubił Aaszę, uzbierawszy widocznie na nowe szaty i wesele. Wogóle

fellahowie żenią się bardzo wcześnie: często widać 15-letniego męża, a 12-letnią małżonkę.

Fellahowie górno-egipscy są robotnikami silnymi i pracę swoją sprzedają tanio, a to z powodu, że w okolicy niema na nią popytu, a przy tem życie ich bardzo pierwotne małe ma potrzeby. W Szarunie płaciłem dorosłym 3 piastry dziennie za 9 godzin roboty, tj. koło 75 halerzy, — a chłopcom o piastę mniej; w El-Gamhudzie 4 piastry, tj. mniej więcej koronę. Należy jednak pracy bezustannie doglądać, bo — z natury leniwi — w braku dozoru natychmiast zaniedbują się. To też od rana do wieczora rozlegać się muszą okrzyki nadzorców: „*Szyddi helak, szyddi helkum! auafi! auafi!* Nuże, wyćście siły!“ W niczem nie można się spuszczać na uwagę robotnika: przy odgrzebaniu naczyń lub trumny upominać trzeba bezustannie, zwracać uwagę na kruchość przedmiotu i niebezpieczeństwo zniszczenia. Najsilniej działa na jakość roboty obietnica *bakszyszu*; krzyczą też on wszyscy przy lada sposobności, zwłaszcza gdy coś odkryją. Wielkich usług dostarcza gromada małych chłopaków, zręcznych i ochoczych w wypełnianiu ziemią koszyków i odnośzeniu na bok. Przy ciężkiej pracy, np. podważaniu głązów, robotnicy wzywają pomocy świętego Zirebiego, który ongi („więcej niż sto lat temu“...) żył w pobliżu i na małym pagórku ma *kubbę* (kapliczkę kopulastą), skąd rozpacza cenną opiekę nad krajanami. Często odkładają narzędzie, by odetchnąć dymem tytoniu; papierosy kręcą z bibulek, a zapalają najczęściej krzesiwkiem. Gdy ktoś zapagnie wody, siedząca obok dziewczyna podaje mu kubek blaszany; pijący nie połknie ani łyku, zanim nie wypłucze ust i gardła z kurzu i piasku. Przykre wrażenie robi zupełny brak uszanowania dla dożywanych trupów: uchodziło za dobry dowcip trzaskanie czaszki o czaszkę. Napróżno tłómaczyłem, że są to ich własni przodkowie; jedynie surowy nakaz uczył barbarzyńców składać kości osobno i z powrotem grzebać. O wartości *antików* (starożytności) mają wieśniacy przesadne pojęcie: europejczyk w ich oczach szuka skarbów niezmiernych, złota i drogich kamieni. Gdy sami czynią tajemne poszukiwania, palą przepisane kadzidła, dla odpędzenia starych duchów, strzegących kosztowności. O zakopanych skarbach krążą poruszające szczegóły; zapewniano mnie o grobie *bint es sultan* (córci królewskiej), pełnym złotych sprzętów. Roznosiciele baśni podobnych powołują się na jakieś księgi, w których za-

znaczone mają być miejsca godne wykopalisk. Ogół wierzy, że i europejczycy, szukający *antików*, wiedzę swą z takich ksiąg czerpią. Arabowie podają sobie legendy z ust do ust w najlepszej wierze: marnowałby jednak czas i pieniądze, ktoby za wskazówkami tego rodzaju śledził starożytne zabytki.

Kiedy podczas południowej przerwy wszyscy wydobędą z zawiniątek zapasy obiadowe, warto się przyjrzeć, jak niewielka ilość pokarmu wystarcza fellahowi. Cieniutki placek suchego chleba, kawałek białego miękkiego sera, parę główek czosnku czy cebuli — oto i wszystko. Chleb przypomina mace żydowskie, jest jednak i twardszy i ciemniejszy; wypiekają go z mąki *durry* (*Andropogon Sorghum*), ze sporą przymieszką gorzkich ziarenek *helby* (*Helba trigonella*, *foenum graecum*), rośliny podobnej do koniczu. Smaku dodaje sobie robotnik szczyptą pustynnej soli, którą kobiety i dzieci troskliwie wśród piasku wygrzebują. Mimo bardzo skromnego jedzenia fellahowie na ogół są silni i zdrowi; niestety i tu, na egipskiej ziemi, zagościła najstraszniejsza z chorób, kiła. Mówiono mi o lekkim jej przebiegu, ale odstrasżającym przykładem tej „lekkości“ był nieszczęśliwy syfilityk, który nieraz przychodził gapić się na roboty, młody a podparty kijem, wlokący się powolutku, wychudły i zeschły, owinięty szmatami. Choroba jest tu dziedziczna: żre również jego matkę, beznosą kalekę. Wieśniacy lekceważą sobie kiłę, a wykształceńsi mienią ją opacznie *rumatismem*. Zebrałem nieco szczegółów o ludowym lecznictwie: Na ból głowy nacina się czoło brzytwą dla upływu krwi, albo też w tyle głowy stawia bańki z rogów *capa*. Na ból zębów gryzą pewne ziele; na bolące oczy kładzie się na noc ałun z białkiem jaj, albo tłuczone pączki jakiegoś drzewa (nie dowiedziałem się nazwy). Chorego na porażenie słoneczne rozbiera masażysta i trze roztworem solnym, mięsząc ku jednemu punktowi, poczem odstający w tem miejscu naskórek zdziera zębami. Słyną szczególniej masażystki koptyjscy, używający do tarcia jaj z olejem lnianym<sup>1)</sup>. Zaczer-

---

<sup>1)</sup> W grudniu 1905 roku jechaliśmy z p. Mieczysławem Geniuszem i panną Dr. Maryą Schulzówną, na osłach do świątyni w Denderze. Osioł panny Sch. uniósł się i spadła, boleśnie wykręcając sobie nogę. Wróciliśmy do stacyi kolejowej w Kene, i natychmiast po przybyciu do Luksoru, wezwaliśmy słynącego w okolicy masażystę koptyjskiego, który z zadzi-

wienienie skóry z potów, czyli t. zw. wysypkę nilową, smarują mąką z łubinu. Mędrale radzą się co do lekarstw książki p. t. *Taskara Daud* (Zapiski Dawida), bardzo wziętej. Epileptycy uchodzą za opętanych przez szatana: przywołany szejch pisze na papierku 99 własności Allaha, wszystkie litery stawiając z osobna, papierek ten kładzie w woreczek skórzany i przywiązuje do ciała chorego. Jeżeli „opętany“ mówi od rzeczy, zbiera się lud w jego domu i szejch uroczyście pyta: „Kto jesteś?“ — Kiedy chory wymówi imię szatana, szejch woła: „Rozkazuję ci wyjść z niego!“ Szatan gotów się wynieść, ale przez oko, — czemu szejch się opiera, bo chory by oślepl. Uzdra-wiacz zadziera nożykiem palec u nogi i tamtędy każe złemu duchowi opuścić nieszczęśliwego.

Robotnicy moi byli w znacznej części muzułmanami; nie brakło jednak koptów różnoobrządkowych: ortodoksów i protestantów. Różnica religijna nie wywołuje niesnasek: koptowie, stanowiący zaledwie kilka odsetków miejscowej ludności, w życiu niczem się prawie nie odróżniają, a co najciekawsze, przestrzegają obrzezania, tak u chłopców jak i u dziewcząt, zupełnie według muzułmańskiego zwyczaju. Wszyscy jednak noszą na prawicy, poniżej dłoni, wytatuowany krzyż, — mają osobnych księży (*gassis*, u protestantów zaś szejch) i zmarłych grzebią na własnych cmentarzach, gdzieindziej położonych od mahometańskich. Cmentarze koptyjskie stykają się zazwyczaj ze starożytnymi nekropoliami Egipcyan; tak było i w Szarunie, a jest to odwiecznem podaniem, świadczącym o związku koptów z faraonską przeszłością, w przeciwstawieniu do najeźdźnych arabów. Poznałem księdza koptyjskiego z Szaruny, ortodoksa; na imię mu Stefanos. Ubrany po duchownemu, w czarną szatę i czarny zawój z jasnoniebieskim szczytem, o długiej brodzie, zachowuje się poważnie, ale jest prostakiem. Czyta koptyjskie modlitwy, nic z nich nie rozumiejąc; wiadomo bowiem, że język dawny, używany dziś jeszcze w liturgii, w życiu wymarł już od

---

wiającą zręcznością i umiejętnością nogę opatrzył, wymięsł i obandażował, używając przytem mąki, wody i jaj. Panna Dr. Schultzówna, będąca lekarzem kwarantanny port-saidzkiej i oficerem akademii paryskiej, z podziwem wyrażała się o skuteczności mięsienia; już bowiem na drugi dzień mogła wstać i chodzić o lasce.

wieków, zastąpiony arabszczyzną. Pytał mnie ksiądz Stefanos o katolicyzm i mocno był zdziwiony, gdy go zapewniłem, że niema krztyny prawdy w bajdach, jakie u koptów za pewnik uchodzą, jakoby u katolików chory, opatrzony ŚŚ. Sakramentami, a nie umierający, ulegał śmierci z rąk kapłana, — lub jakoby mnisi katolicy raz na rok mieli dozwolone obcowanie z kobietami. Ksiądz Stefanos i inni obecni koptowie robili z tych dwu zwyczajów zarzut katolicyzmowi i, choć po moich zaprzeczeniach udawali przekonanych, w głębi duszy pewno mi nie wierzyli, myśląc, że tylko obłudnie swoją wiarę zakrywam.

Skoro już mamy się rozstać z fellahami, zanotuję tutaj parę ich przesądów. Z wielką niechęcią sprzedawali mi mleko — i nieraz, mimo że chciałem dobrze zapłacić, przez cały tydzień mleka dostać nie mogłem. Wieśniacy tłumaczyli, że ich zdaniem sprzedawać mleko to rzecz nierozsądna, bo z mleka robi się ser i masło, a te pójdą drogo na targ. Było to jednak z pewnością zatajenie właściwej przyczyny, którą musi być przesąd, zabraniający sprzedawania mleka cudzoziemcowi i to chrześcijaninowi. Dowiedziałem się także o dwu zabobonach związanych z księżycem: patrząc nań pociera się pieniądzem włosy brody, aby pieniądze stały się tak liczne, jak te włosy, — a gdy popatrzywszy na księżyc spostrzeżesz nagle twarz piękną przechodnia, możesz być pewny dobrej wróżby. Zajęty wykopaliskami nie miałem sposobności do łowienia przesądów i zabobonów, ale musi ich być dużo, bo Szaruna uchodzi za dzikszą od przeciwnego brzegu Nilu, a *kutab* (szkółka) tamtejszy nie wiele szerzy światła, zwłaszcza, że nauka nie jest obowiązkowa. Mało kto umie czytać i pisać, nawet poprzedni *omde* był analfabetą.

Niedaleko pola moich robót leżały brudne i nędzne namioty beduinów. Nic prawie nie miałem z nimi w Szarunie do czynienia; czasem tylko podchodził dla przyjrzenia się kopaniu obtargany beduin, — z krzywą przy boku szablą, nieraz pięknie okutą — i z góry patrzył tak na mnie, jak i na fellahów: beduini, choć nędzni, zawsze wywyższają się nad mieszkańców doliny. Mają oni odrębne zgoła zwyczaje, a nawet swoje własne wewnętrzne prawodawstwo. Opowiadano mi, że beduini w razie zabicia kogoś przez jednego z nich nie idą nigdy do trybunału, lecz sami wymierzają sprawiedliwość, każąc spłacić winę wielbłędami, od dwudziestu sztuk i więcej, stosownie do znaczenia zabójcy i zabitego. Jeżeli oskarżony zapiera się zbro-

dni, sędzia daje mu do polizania rozpalone do czerwoności żelazo, które na niewinnym śladu rzekomo nie zostawia, winny zaś nie śmie go dotknąć i zazwyczaj pod samą groźbą do zbrodni się przyznaje. Jeżeli zabójca odmawia zapłaty odszkodowania w wielbłądach lub bydłe, rodzina zabitego ma prawo zgładzić mordercę, lub — jeśli ten nie żyje — kogoś z jego rodziny. Zdaje mi się, że zwyczaje tego rodzaju sięgają bardzo odległej przeszłości i być może nawet malują obraz społeczeństw arabskich z przed Mohammeda, ślady bowiem islamu na pustynno-górskich mieszkańcach są niezmiernie drobne.

O ile w Szarunie przypadkowo tylko stykałem się z beduinami, o tyle na drugim etapie moich wykopalisk ciągle nimi byłem otoczony. W marcu rozbiłem namioty na pustyni libijskiej, cztery do pięciu godzin jazdy osłami od brzegu nilowego. Wprawdzie do robót przychodzili fellahowie z najbliższej wsi El-Gamhud, ale zostawałem pod opieką beduinów, ich miałem za strażników osoby i mienia. Mogłem też podziwiać świetne typy wolnych górali (pustynia, wzniesiona wyżej od pól rolnych, zowie się *gebel* jak góry), — nieustraszonych, dumnych, nie uznających żadnej władzy poza własnym plemieniem. Szejchami nie są tu starcy, jak w nizinie: przeciwnie, na czele plemion stoją dzielni młodzianie, ale arystokratycznego pochodzenia. Takim arystokratą był mój opiekun Bakir, dorodny, smukły, o ognistym wejrzeniu i wysokim czole, nosie orlim i maleńkim, czarnym wąsiku. Trzeba go było widzieć na koniu ze strzelbą, aby pojąć olbrzymią różnicę, jaka dzieli wolnego syna pustyni od fellahów. Wolni są beduini nie w przenośni, ale prawdziwie: nie są związani obowiązkową służbą wojskową, bo ich szejchowie nigdy się na to nie zgodzili w umowach z rządem dolinym. Odpowiedzialności przed urzędową władzą nie znają: — „Czem jest *maamur*? — powtarzał Bakir — czem *mudir*? czem *effendina* (chedyw)? Ta władza nic nas nie obchodzi, to władza fellahów! Ja dla siebie jestem też *effendiną!*“ — Widziałem tę niezależność w praktyce, gdy raz przedstawiciele dwu plemion sąsiednich pokłócili się przy moich namiotach, chwycili nawet za broń i ledwie dali się rozdzielić, aby nazajutrz wraz ze mną pojechać do Feszu przed *maamura* (starostę). Bakir był obwiniony, ale nie było w nim ani śladu pokory: z dumą wyciągnął dłoń do starosty, przedstawił godnie swój pogląd na sprawę, a *maamur* spokojnie i z szacunkiem nakłonił go do

zgody. Fellah-starosta nie śmiał z góry besztuć arystokraty-beduina; raczej go prosił o ustąpienie, niż nakazywał; zdawało się po prostu, że w tej wielkiej sali urzędowej, pełnej miejskiego pospólstwa, Bakir był pierwszą osobą. Polubiliśmy się serdecznie i gdy, wyjeżdżając do Kairu, prosiłem go o uległość dla mojego zastępcy, Ahmeda Beja Kamala, on się oburzył: „Ja uległy dla *fellaha*?!” Trudno mu było wejść w służbę przedstawiciela nizin, choćby baszy orderowanego medźidiami, dygnitarza i mędrca. Bo i cóż go łączyło z Bejem? Wiara? Ależ Bakir tylko *de nomine* był muzułmaninem; w duszy poganin, modlitw nie odmawiał nigdy, czcił Boga cwałem swojego rumaka i celnością w srebro okutej strzelby.

Kair, grudzień 1907.

